

Jan Brzechwa

*Akademia*  
pana  
**Kleksa**



Wydawnictwo Skrzat  
Kraków

## *Ta oraz* inne bajki

Nazywam się Adam Niezgódka, mam dwanaście lat i już od pół roku jestem w Akademii pana Kleksa. W domu nic mi się nigdy nie udawało. Zawsze spóźniałem się do szkoły, nigdy nie zdążyłem odrobić lekcji i miałem gliniane ręce. Wszystko upuszczałem na podłogę i tłukłem, a szklanki i spodki na sam mój widok pękały i rozlatywały się w drobne kawałki, zanim jeszcze zdążyłem ich dotknąć. Nie znosiłem krupniku i marchewki, a właśnie codziennie dostawałem na obiad krupnik i marchewkę, bo to pożywne i zdrowe. Kiedy na domiar złego oblałem atramentem parę spodni, obrus i nowy kostium mamy, rodzice postanowili wysłać mnie na naukę i wychowanie do pana Kleksa. Akademia mieści



się na samym końcu ulicy Czekoladowej i zajmuje duży trzypiętrowy gmach zbudowany z kolorowych cegiełek. Na trzecim piętrze przechowywane są tajemnicze i nikomu nieznane sekrety pana Kleksa. Nikt nie ma prawa tam wchodzić, a gdyby nawet komuś zachciało się wejść, nie miałby któreśdy, bo schody doprowadzone są tylko do drugiego piętra i sam pan Kleks dostaje się do swoich sekretów przez komin. Na parterze mieszczą się sale szkolne, w których odbywają się lekcje, na pierwszym piętrze są sypialnie i wspólna jadalnia, wreszcie na drugim piętrze mieszka pan Kleks z Mateuszem, ale tylko w jednym pokoju, a wszystkie pozostałe są pozamykane na klucz.

Pan Kleks przyjmuje do swojej Akademii tylko tych chłopców, których imiona zaczynają się na literę „A”, bo – jak powiada – nie ma zamiaru zaśmiecać sobie głowy wszystkimi literami alfabetu. Dlatego w Akademii jest czterech Adamów, pięciu Aleksandrów, trzech Andrzejów, trzech Alfredów, sześciu Antonich, jeden Artur, jeden Albert i jeden Anastazy, czyli ogółem dwudziestu czterech

uczniów. Pan Kleks ma na imię Ambroży, a zatem tylko jeden Mateusz w całej Akademii nie zaczyna się na „A”. Zresztą Mateusz nie jest wcale uczniem. Jest to uczony szpak pana Kleksa. Mateusz umie doskonale mówić, posiada jednak tę właściwość, że wymawia tylko końcówki wyrazów, nie zwracając zupełnie uwagi na ich początek. Gdy na przykład Mateusz odbiera telefon, odzywa się zazwyczaj:

– Oszę, u emia ana eksa!

Oznacza to:

– Proszę, tu Akademia pana Kleksa.

Oczywiście, że obcy nie mogą go wcale zrozumieć, ale pan Kleks i jego uczniowie porozumiewają się z nim doskonale. Mateusz odrabia z nami lekcje i często zastępuje pana Kleksa w szkole, gdy pan Kleks idzie łapać motyle na drugie śniadanie.

Ach, prawda! Byłbym całkiem zapomniał powiedzieć, że nasza Akademia mieści się w ogromnym parku, pełnym rozmaitych dołów, jarów i wąwozów, i otoczona jest wysokim murem. Nikomu nie wolno wychodzić poza mur bez pana Kleksa. Ale ten mur to nie jest mur byle jaki. Po tej stronie, która

biegnie wzdłuż ulicy, jest zupełnie gładki i tylko pośrodku znajduje się duża oszklona brama. Natomiast w trzech pozostałych częściach muru mieszczą się długim nieprzerwanym szeregiem jedna obok drugiej żelazne furtki, pozamykane na małe srebrne kłódeczki.

Wszystkie te furtki prowadzą do rozmaitych sąsiednich bajek, z którymi pan Kleks jest w bardzo dobrych i zażyłych stosunkach. Na każdej furtce jest tabliczka z napisem wskazującym, do której bajki prowadzą. Są tam wszystkie bajki pana Andersena i braci Grimm, bajka o dziadku do orzechów, o rybaku i rybaczce, o wilku, który udawał żebraka, o sierotce Marysi i krasnoludkach, o Kaczce-Dziwaczce i wiele, wiele innych. Nikt nie wie dokładnie, ile jest tych furtek, bo kiedy je zacząć liczyć, nie można się nie pomylić i po chwili nie wiadomo już, co się naliczyło przedtem. Tam, gdzie powinno być dwanaście, wypada nagle dwadzieścia osiem, a tam, gdzie zdawałoby się, że jest dziewięć, wypada trzydzieści jeden albo sześć. Nawet Mateusz nie wie, ile jest tych bajek, i powiada,

że „oże o, a oże eście”, co znaczy, że może sto, a może dwieście.

Kluczyki od furtek przechowuje pan Kleks w dużej srebrnej szkatule i zawsze wie, który z nich do której kłódki pasuje. Bardzo często pan Kleks posyła nas do różnych bajek po sprawunki. Wybór przeważnie pada na mnie, bo jestem rudy i od razu rzucam się w oczy. Pewnego więc dnia, gdy panu Kleksowi zabrakło zapalek, zawołał mnie do siebie, dał mi mały złoty kluczyk na złotym kółku i powiedział:

– Mój Adasiu, skoczysz do bajki pana Andersena o dziewczynce z zapalkami, powołasz się na mnie i poprosisz o pudełko zapalek.

Ogromnie uradowany poleciałem do parku i nie wiedząc zupełnie w jaki sposób, trafiłem od razu do właściwej furtki. Już po chwili znalazłem się po drugiej stronie. Oczom moim ukazała się ulica jakiegoś nieznanego miasta, po której snuło się mnóstwo ludzi. I nawet padał śnieg, chociaż po naszej stronie było w tym czasie lato. Wszyscy przechodnie trzęśli się z zimna, którego ja wcale

nie odczuwałem, i nie spadł na mnie ani jeden płatek śniegu. Kiedy tak stałem zdziwiony, zbliżył się do mnie jakiś starszy siwy pan, pogłaskał mnie po głowie i rzekł z uśmiechem:

– Nie poznajesz mnie? Nazywam się Andersen. Dziwi cię, że tutaj pada śnieg i mamy zimą, podczas gdy u was jest czerwiec i dojrzewają czereśnie, prawda? Ale przecież musisz, chłopcze, zrozumieć, że ty jesteś z zupełnie innej bajki. Po co tutaj przyszedłeś?



– Przyszedłem, proszę pana, po zapałki. Pan Kleks mnie przysłał.

– Ach, to ty jesteś od pana Kleksa! – ucieszył się pan Andersen. – Bardzo lubię tego dziwaka. Zaraz dostaniesz pudełko zapałek.

Po tych słowach pan Andersen klasnął w dłonie i po chwili zza rogu wyszła mała zziębnięta dziewczynka z zapałkami. Pan Andersen wziął od niej jedno pudełko i podał mi je, mówiąc:

– Masz, zanieś to panu Kleksowi. I przestań płakać. Nie lituj się nad tą dziewczynką. Jest ona biedna i zziębnięta, ale tylko na niby. Przecież to bajka. Wszystko tu jest zmyślane i nieprawdziwe.

Dziewczynka uśmiechnęła się do mnie, skinęła mi ręką na pożegnanie, a pan Andersen odprowadził mnie z powrotem do furtki.

Kiedy opowiedziałem chłopcom o mojej przygodzie, wszyscy mi bardzo zazdrościli, że poznałem pana Andersena.

Później chodziłem do różnych bajek bardzo często w rozmaitych sprawach: a to trzeba było przynieść parę butów z bajki o kocie w butach, a to

znów w sekretach pana Kleksa pojawiły się myszy i trzeba było sprowadzić samego kota albo kiedy nie było czym zamieść podwórka, musiałem pożyczyc miotłę od pewnej czarownicy z bajki o Łysej Górze.

A kiedyś było i tak, że pewnego pięknego dnia zjawił się u nas jakiś obcy pan w szerokim aksamitnym kaftanie, w krótkich aksamitnych spodniach, w kapeluszu z piórem i kazał zaprowadzić się do pana Kleksa.

Wszyscy byliśmy ogromnie zaciekawieni, po co ten pan właściwie przyszedł. Pan Kleks długo z nim rozmawiał szeptem, częstował go pigułkami na porost włosów, które sam miał zwyczaj nieustannie łykać, a potem, wskazując na mnie i na jednego z Andrzejów, rzekł:

– Słuchajcie, chłopcy, ten pan, którego tu widzicie, przyszedł z bajki o śpiącej królownie i siedmiu braciach. Otóż dwaj spośród nich poszli wczoraj do lasu i nie wrócili. Sami rozumiecie, że w tych warunkach bajka o śpiącej królownie i siedmiu braciach nie może się dokończyć. Dlatego też

wypożyczam was temu panu na dwie godziny. Tylko pamiętajcie, macie wrócić na kolację.

– Acja ędzie ed óstą! – zawołał Mateusz, co miało oznaczać, że kolacja będzie przed szóstą.

Poszliśmy razem z owym panem w aksamitnym ubraniu. Dowiedzieliśmy się po drodze, że jest on jednym z braci śpiącej królowy i że my również będziemy musieli włożyć taki sam aksamitny strój. Zgodziliśmy się na to chętnie, obaj byliśmy ciekawi widoku śpiącej królowy. Nie będę się tutaj rozpisywał na temat samej bajki, bo każdy ją na pewno zna. Muszę jednak powiedzieć, że za udział w bajce śpiąca królowa po przebudzeniu się zaprosiła mnie i Andrzeja na podwieczorek. Nie wszyscy pewnie wiedzą, jakie podwieczorki jadają królowy, a zwłaszcza królowy z bajek. Przede wszystkim więc lokaje wnieśli na tacach ogromne stosy ciastek z kremem, a prócz tego sam krem w dużych srebrnych misach. Każdy z nas dostał tyle ciastek, ile tylko chciał. Do ciastek podano nam czekoladę, każdemu po trzy szklanki naraz, a w każdej szklance po wierzchu pływała ponadto

czekolada w kawałkach. Na stole na dużych półmisekach leżały marcepanowe zwierzątka i lalki oraz marmoladki, cukierki i owoce w cukrze. Wreszcie na kryształowych talerzach i wazach ułożone były winogrona, brzoskwinie, mandarynki, truskawki i rozmaite inne owoce oraz przeróżne gatunki lodów w czekoladowych foremkach.

Królowa uśmiechała się do nas i namawiała, abyśmy jedli jak najwięcej, bo żadna ilość nam nie zaszkodzi. Przecież wiadomo, że w bajkach nigdy nie choruje się z przejedzenia i że jest zupełnie inaczej niż w rzeczywistości. Schowałem do kieszeni kilka foremek z lodami, aby je zanieść kolegom, ale lody się rozpuściły i kapały mi po nogach. Całe szczęście, że nikt tego nie zauważył.

Po podwieczorku królowa kazała zaprząć parę kucyków do małego powozu i towarzyszyła nam aż pod sam mur Akademii pana Kleksa.

– Kłaniajcie się ode mnie panu Kleksowi – powiedziała na pożegnanie – i poproście go, żeby przyszedł do mnie na motylki w czekoladzie.

A po chwili dodała:

– Tyle słyszałam o bajkach pana Kleksa. Będę je musiała koniecznie kiedyś odwiedzić.

W ten sposób dowiedziałem się, że pan Kleks ma swoje własne bajki, ale poznałem je dopiero znacznie później.

W każdym razie zacząłem odtąd szanować pana Kleksa jeszcze bardziej i postanowiłem zaprzyjaźnić się z Mateuszem, aby dowiedzieć się od niego o wszystkim.

Mateusz nie jest skory do rozmów, a zdarzają się nawet takie dni, że w ogóle z nikim nie chce gadać.

Pan Kleks na jego upór ma specjalne lekarstwo, a mianowicie – piegi.

Nie pamiętam, czy wspomniałem już o tym, że twarz pana Kleksa po prostu upstrzona jest piegami. Początkowo najbardziej dziwiła mnie okoliczność, że piegi te codziennie zmieniały swoje położenie: jednego dnia zdobyły nos pana Kleksa, nazajutrz znów przenosiły się na czoło po to, aby trzeciego dnia pojawić się na brodzie albo na szyi.

Okazało się, że przyczyną tego jest roztargnienie pana Kleksa, który na noc zazwyczaj piegi zdejmuje

i chowa do złotej tabakierki, a rano przytwierdza je z powrotem, ale na niewłaściwych miejscach. Pan Kleks nigdy nie rozstaje się ze swoją tabakierką, w której ma mnóstwo zapasowych piegów rozmaitej wielkości i barwy.

Co czwartek przychodzi z miasta pewien golarz, imieniem Filip, i przynosi panu Kleksowi świeże piegi, które za pomocą brzytwy zbiera z twarzy swoich klientów podczas golenia. Pan Kleks ogląda je bardzo dokładnie, przymierza przed lustrem, po czym chowa starannie do tabakierki.

W niedzielę i święta pan Kleks punktualnie o jedenastej mówi:





– No, a teraz zażyjmy sobie piegów.

Po tych słowach wybiera z tabakierki cztery albo pięć największych i najbardziej okazałych piegów i przytwierdza je sobie do nosa.

Zdaniem pana Kleksa nie może być nic piękniejszego niż duże czerwone lub żółte piegi.

– Piegami znakomicie działają na rozum i chronią od kataru – zwykł mawiać do nas pan Kleks.

Dlatego też, jeżeli któryś z uczniów wyróżni się podczas lekcji, pan Kleks uroczyście wyjmie z tabakierki świeżego, nieużywanego jeszcze piega i przytwierdza go do nosa takiego szczęściarza, mówiąc:

– Noś go godnie, mój chłopcze, i nigdy go nie zdejmuj, jest to bowiem najwyższa odznaka, jaką możesz zdobyć w mojej Akademii.

Jeden z Aleksandrów zdobył już aż trzy duże piegi, a niektórzy z chłopców dostali po dwa lub po jednym i obnoszą je na swoich twarzach z niezwykłą dumą. Zazdroszczę im i nie wiem, co dałbym za to, żeby otrzymać takie odznaczenie, ale pan Kleks powiada, że jeszcze za mało umiem.

Otóż, wracając do Mateusza, muszę powiedzieć, że przepada on za piegami pana Kleksa i uważa je za największy przysmak.

Skoro tedy Mateusz zaniemówi, pan Kleks zdejmie ze swojej twarzy najbardziej zużytego piega i daje go Mateuszowi do zjedzenia. Skutek jest natychmiastowy: Mateusz zaczyna mówić i odpowiada na wszystkie pytania. Taki sposób wymyślił na niego pan Kleks!

Któregoś dnia, było to w połowie czerwca, pan Kleks usnął w parku i zupełnie nie zauważył, że go pogryzły komary. Zaczął się tak zawzięcie drapać w nos, że zdrapał sobie wszystkie piegi. Cichaczem pozbierałem je w trawie i zaniósłem Mateuszowi. Od tej chwili bardzo się ze mną zaprzyjaźnił i opowiedział mi niezwykłą historię swojego życia.

Powtarzam ją tutaj w całości, z tym oczywiście, że do końcówek słów Mateusza dorobiłem brakujące części wyrazów.